

Tadeusz Petrowicz

OPOWIEŚCI LEŚNICZEGO SPOTKANIE Z WILKAMI I UCIECZKA MAŁGOSI¹

Życie ułożyło mi się wyjątkowo przyjemnie, żona okazała się doskonałym partnerem, towarzyszką życia i wzorową panią domu. Z racji wspólnych zainteresowań zawodowych (żona była biologiem, od lat związana z resortem leśnictwa) mieliśmy wspólnych kolegów i koleżanki, więc byliśmy często przez nich odwiedzani w Muszynie.

Z domem Lankoszków² utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie. Kiedyś, w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia, wracaliśmy od nich ze świątecznej wizyty. Przyjęcie jak zwykle było miłe. Do leśniczówki mieliśmy niedaleko, noc mroźna, gwiazdy mrugały do nas swoim srebrzystym światłem, śnieg skrzypiał pod nogami. Mając lekki szmerek w głowach, szliśmy spacerkiem do domu. Minęliśmy most na Popradzie i kiedy wyszliśmy za Basztę, uwagę naszą zwróciły dwa duże wilczury stojące na skraju drogi wiodącej na Złockie. Poszedłem w kierunku tych psów, które zachowywały się tak, jakby bały się wejść w krąg światła latarni i przestępowały z łapy na łapę. Dopuszczyły mnie na kilkanaście kroków i prysnęły przez potok Szczawnik, kierując się do lasu na Majerzu. Ponieważ noc była jasna, nie miałem wątpliwości, że te domniemane psy były wilkami, co rano stwierdziłem z całą pewnością, badając tropy. Wilki przyszły z Nowińskiej przez Koziejówkę i na Baszcie polowały na sarny, a potem, spłoszone przez nas, przeszły do obchodu Mikowa, ale nie zatrzymały się tam i przez Milik i Andrzejówkę weszły do Żegiestowa.

Na zaproszenie kolegi, Rysia Hankego, wybrałem się z Marysią (moją żoną) na sylwestra do Żegiestowa, gdzie Rysio był leśniczym. Bawiliśmy się w gronie przyjaciół, ale po północy zabawa zrobiła się trochę nudna, więc nad ranem postanowiliśmy zrobić sobie pieszy spacer z Żegiestowa do Muszyny.

Rozwidniało się, kiedy pożegnaliśmy nasze towarzystwo i wyszliśmy na drogę. Szło się nam lekko, droga była przetarta, zaczął prosić świeży śnieg, którego płatki wirowały w powietrzu tworząc bajkowy krajobraz. Droga wiodła nas pod górę, potem powyżej sanatorium „Wiktor” zaczęła wic się serpentynami w kierunku Andrzejówki. Z lewej strony stał ośnieżony las, a po prawej w dole, za Popradem, otwierał się widok na Słowację. W głowach mieliśmy jeszcze sylwestrowe melodie, ale zimowy przedświt i ruch na świeżym powietrzu to było wszystko, czego potrzebowaliśmy.

Gdzieś za tunelem stwierdziliśmy na świeżym śniegu tropy dwóch dużych wilków, które kierowały się do Andrzejówki, a więc szły w tym samym kierunku, co my.

¹ Opowiadanie jest częścią rozdziału *Spotkania, zabawa i ucieczka Małgosi* z książki Tadeusza Petrowicza *Zaczęło się w Czarnohorze*, Wydawnictwo „Łowiec Polski”, Warszawa 1996 (przyp. red.).

² Stanisław Lankosz, znany narciarz, pochodził z Czarnohory. Jego rodzice prowadzili pensjonat w Jaremczu. Wojnę spędził na Węgrzech, po okupacji podjął pracę w Szklarskiej Porębie, a potem w Muszynie, w nowej stacji meteorologicznej na Zapopradziu (przyp. red.).

Nie było wątpliwości, że mamy towarzystwo, ale na szczęście szliśmy pod lekki wiatr, więc była nadzieja, że nas nie zwietrzą. Po tropach wilczych szliśmy około 5 kilometrów, aż pod sam Milik. Tam dopiero wilki weszły w las. Na pewno była to ta sama znajoma para, którą widzieliśmy w Boże Narodzenie, gdy wracaliśmy od Lankoszów.

Dobrze zrobił nam ten poranny spacer, do domu przyszedliśmy w dobrej formie, przywitaliśmy się z małą dziką loszką, zwaną Małgosią, która miała swoje legowisko w ogrodzonej części ogrodu przy leśniczówce. Małgosia trafiła do nas jako mały warchlak, uratowany przed atakującymi ją psami. Przez lato chodziła z prosiakami po podwórzu, a na zimę zrobiła sobie barłóg w specjalnie przygotowanym dla niej zadaszaniu przy domu.

Jeszcze się dobrze nie rozebrałem, gdy zadzwonił telefon. Dzwoniła przerażona sąsiadka, pani Donia Gruszevska, prosząc o szybką pomoc, gdyż do oszklonych drzwi frontowych na werandzie dobija się jakiś drab. Natychmiast złapałem grubą łaskę, gwizdnąłem na Dariusia i ruszyłem sąsiadce na pomoc. Na szczęście zdążyłem na czas. Napastnik nie czekał, tylko wziął nogi za pas i zwiął. Uspokoilem panią Donię i jej trzy małe córki, po czym udałem się do domu. Po drodze zauważyłem wyłamaną balaskę w płocie i ślad Małgosi prowadzący do lasu. Zaskoczyło mnie to dziwne zachowanie małego warchlaka. Małgosia nigdy dotąd nie próbowała ucieczki, do tego pora, w jakiej to robiła, była dla niej najmniej odpowiednia. W lesie było już sporo śniegu, który teraz rozpadał się na dobre, a Małgosia była przecież małym bezbronnym dziczkiem. W tych warunkach nie miała szans na przetrwanie zimy.

Ponieważ Małgosia była nauczona przychodzić na wołanie, postanowiłem wybrać się na poszukiwania. Ubrałem się odpowiednio, założyłem narty, ale padający śnieg zasypał ślady. Małgosia nie reagowała na wołanie. Po długim szukaniu, zmęczony, wróciłem do leśniczówki. Żal mi było małego dziczka, u nas miała dobre warunki, spokojnie przetrwałyby zimę, a tak, jeśli nie wróci, zginie z głodu lub spotka ją coś innego złego.

W leśniczówce mieliśmy bardzo miłą góralską dziewczynę Jasię, opiekującą się naszym gospodarstwem. Jasia była wielce zaprzyjaźniona z Małgosią i żal jej było bardzo swojej wychowanki, więc – nie zważając na śnieg – zaraz po śniadaniu wybrała się na poszukiwanie, licząc, że na jej wołanie loszka jednak przybiegnie.

Niestety i jej poszukiwania skończyły się niepowodzeniem. Małgosia przepadła. Smutno się nam zaczął Nowy Rok, przez cały dzień wyglądaliśmy, czy gdzieś nie widać Małgosi, ale na próżno.

Kiedy straciliśmy już nadzieję, przez otwartą furtkę przyszła na podwórze Małgosia. Potulna, ze zwieszoną głową, najwyraźniej głodna, gdyż szukała jedzenia w swoim kącie.

Przez zimę już nie uciekała, ale kiedy przyszła wiosna, wyłamała sobie dziurę w płocie i uciekła do lasu. Wiem, że trafiła do swoich pobratymców pod Szczerbem i została przyjęta do dziczej rodziny, ale wychowana wśród ludzi nie bała się ich i grasowała po ogrodach w Miliku, robiąc poważne szkody. Dowiedziałem się o tym od zaprzyjaźnionych rolników. Potem zdziczała i już nie miałem o niej wiadomości, ale wydaje mi się, że kiedyś, raz, spotkałem ją w lesie. Gdy na sporego przelatka³ zawołałem „Małgosia!”, dzik zatrzymał się, popatrzył w moją stronę i wolno, nie uciekając, skierował się do młodnika.

³ Przelatek – dzik w drugim roku życia.